

POWIEŚĆ i NOWELA

*bezpłatny dodatek dla prenumeratorów „Świata”
do N-ru 20-go z dnia 18.V.1935 r.*

JÓZEF NATANSON

POLSKIM JACHTEM PO OBCYCH MORZACH I BRZEGACH

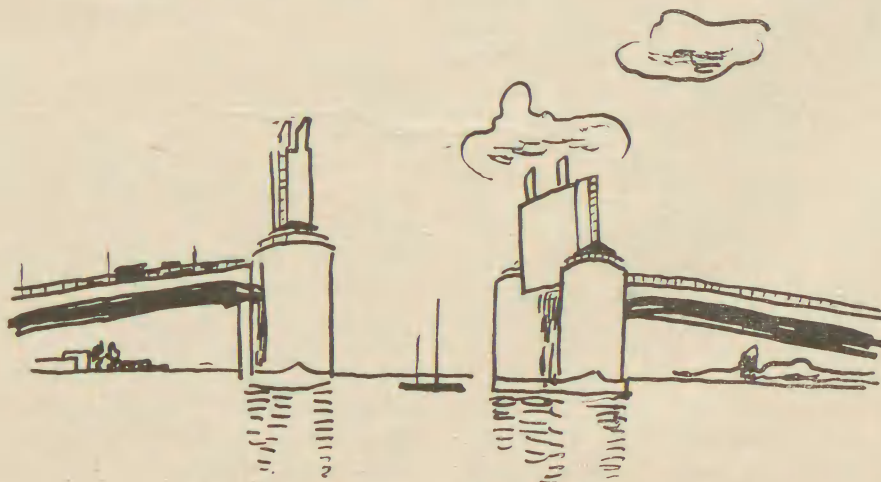
Halmstad jest małym miastem o 26.000 mieszkańców, położonem nad długim kanałem, którego część rozszerzona i pogłębiona służy jako port. Banki jednak i sklepy z wielkimi witrynami, znajdujące się przy porządnym bardzo placach i ulicach, robią wrażenie zupełnie wielkomiejskich. Chodziliśmy po mieście, przyglądając się wystawom i po przeliczeniu cen na złote, dziwiliśmy się taniości wielu przedmiotów.

Wyroby stalowe, żelazne, skórzane i wełniane, futra, przedmioty codziennego użytku znacznie są tańsze, niż u nas lub w Danji. A przede wszystkim owoce: rzuciliśmy się na pomarańcze, które tam już za 6 groszy kupić można.

Blisko śródmieścia Halmstad posiada piękny

park, którego bardzo znaczną część zajmuje ogród botaniczny, zupełnie zresztą od głównego parku, dzień i noc otwartego, nie odgradzony. Wielkie drzewa i małe roślinki, opatrzone tabliczkami, sztuczne skały postawione dla roślin górskich, stawki wykopane dla wodnych roślin: prawidłowo wszystko urządzone, jak w stolicy. Kilka kroków za parkiem, a jesteśmy w dzielnicy willowej, gdzie, podobnie, jak w Danji, małe jednorodzinne domki toną w zieleni przy szerokich asfaltowych alejach, obsadzonych po obu stronach drzewami. Tam też stoi duży, piękny w proporcjach, niedawno zbudowany gmach muzeum regionalnego.

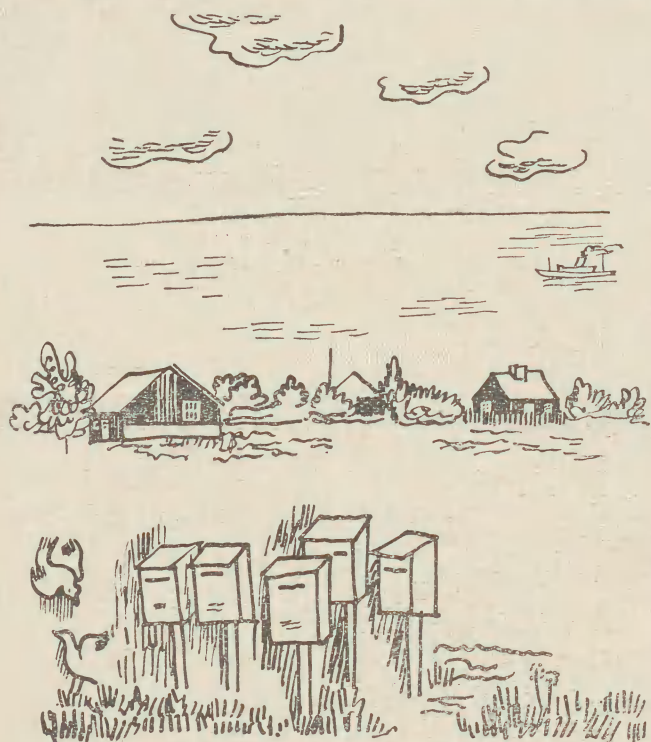
Kilka dni spędziliśmy w Halmstadzie, gdyż warunki atmosferyczne wciąż były fatalne, a komu-



Kanał portowy w Halmstad

nikaty radjowe nie wróżyły nic dobrego. Miałem więc czas przyjrzeć się też okolicy i wychodziłem na wieś szwedzka, miasto bowiem nie posiada żadnych ciekawych zabytków.

Zwykle na skrzyżowaniu dróg, a przedewszystkiem tam, gdzie od szosy zbacza droga do domów na uboczu, stoją, jak mały mułmański cmentarzyk, na kółkach, wbitych w ziemię, puszki do listów, aby listonosz nie potrzebował zbyt daleko chodzić. Na każdej puszcze, zwykle na za-



Skrzynki do listów wśród... warzyń

teczkę, rzadziej na klucz zamykanej, wypisany jest dużymi literami numer domu lub nazwisko właściciela. Zabawnie wyglądają takie puszki do listów, w szczerem polu umieszczone, i zanim się dojrzy daleko za kępami drzew stojące domki, wydaje się, że tylko ptaki, trzepocące się w słońcu na szosie, listy te odbierają. Stoją tam też często przy pustych szosach, daleko za miastem, małe budki na żelaznych nogach: są to automaty telefoniczne, idealne dla ludzi, którzy „zapomnieli coś powiedzieć” lub na spacerze „przypominają sobie nagle”, że o tej właśnie porze mieli do kogoś zatelefonować.

Idąc tak kiedyś, dokąd oczy poniosą, zawędrowałem do Tylösandlu, małej szwedzkiej plaży, już nad samym Kattegatem leżącej. Jest to skalisty cypel, lasem obrosnięty, obok którego morze niesie piasek i tworzy piękną plażę, podobno teraz bardzo odwiedzaną. Dwa spore, o prostych linjach, nowe hotele i szereg willi, w drzewach schowanych, składają się na całą miejscowość. Jeden z hoteli, z drzewa i szkła zbudowany, cały szary, wygląda ozdobnie i wesoło, gdyż firanki w oknach, na każdym piętrze innego koloru, tworzą szereg barwnych pasów, co ożywia całą budowlę.

Osobną, niedaleko morza wybraną, polankę poświęcono campingowi. Całe miasto tam stoi namiotów, małych i wielkich, równo rzędami poustawianych, z wielkimi numerami u wejścia, jak

domy w mieście, gdyż inaczej trudno byłoby trafić do swego, tak ich jest wiele. W dzień powszedni dosyć jest tam pusto, ale wielki ruch panuje w soboty i niedziele, gdy wszyscy samochodami lub na rowerach przyjeżdżają na weekend. Tuż obok place do gier, z świetnie utrzymanymi placami tenisowymi. Trochę dalej, w lesie, stoją już całe domki campingowe. Są to przeważnie jednoizbowe budyneczki, tak w planie pomyślane, że przez różnice poziomów, schodki i półściany tworzy się cały szereg przyjemnych kątów mieszkalnych: tu jadalni i salonik, tu sypialnie, tam kuchnia. Przez ogromne okna, prześwietlające na wylot te ściany mieszkalne, widać kolorowe mebelki i małe tapczany z poduszkami. Domki te są zazwyczaj rozbieralne, a właściciel wybiera sobie na wiosnę okolicę, do której ma ochotę jeździć danego lata. Samochód ciężarowy zawozi na miejsce deski, szyby i meble, i sprawa spędzenia lata we własnym domku załatwiona. Dzieci wykopią już dokoła domku małe ścieżki, porobią klomby, zasadzą kwiaty, a drut, przymocowany do najbliższego drzewa, da możliwość słuchania radja, gdy deszcz będzie padał.

Po prawie tygodniowym postoju w porcie, w pogodny południe, postawiliśmy żagle i wypłynęliśmy na Kattegat, o którego przepłynięcie, pod innym już teraz kątem, mieliśmy się po raz drugi kusić. Tym razem morze było spokojne, a nawet za spokojne, bo wyspa Anholt, która nas poprzednio sztormem przywitała, teraz popisała się zupeł-



Fragment duńskiej ulicy

ną ciszą, wobec czego, od północy do rana, wśród mgły i drobnego deszczu, jacht kiwał się na martwej fali, a wielki nasz żagiel przelatywał tę na tę, to na tamtą stronę i, niemilo hałasując, spać nam nie dawał. Z wielką złością przypatrywaliśmy się daleko na horyzoncie przechodzącym światłom wielkich statków, których pasażerowie prawdopodobnie zachwycali się przyjemnością jazdy na spokojnym morzu. Dopiero przed południem następnego dnia zerwał się wiatr i rozpędził mgłę, ale napróżno wypatrywaliśmy wyspy, która powinna była być niedaleko: morze, tylko morze otaczało nas ze wszystkich stron. W ciągu długich godzin ciszy straciliśmy możliwość ścisłego kontrolowania ruchów jachtu, który prądy morskie niosły

w ciągu nocy w niewiadomym kierunku i z niewiadomą szybkością. Nie musieliśmy być jednak daleko od naszego kursu i posuwaliśmy się dalej na północo-zachód, czekając, aż jaki znak, wiecha lub zarys lądu pozwolą nam dokładnie się określić. Rzeczywiście ukazał się nam wśród mgły jakiś daleki cień lądu; spojrzawszy przez lornetkę, stwierdziłem z prawdziwą wściekłością, że to znów dobrze nam znana sylwetka Anholtu. Prądy, jak się okazało, znosiły nas na południe, musieliśmy więc znowu przejść koło przekłętej wyspy i, kiedy wreszcie zginęła za nami, baliśmy się jeszcze ciągle, że jakaś czarodziejską sztuką wypłynie ponownie przed nami, i nigdy jej minąć nie zdołamy. Na szczęście jednak nie ujrzelśmy jej więcej, a o zmroku ukazały się latarnie jutlandzkiego wybrzeża, przedewszystkiem przywitana wybuchem radości i okrzykami latarnia wejściowa do Limfjordu. Kattegat, który tak bardzo dał się nam we znaki, był wreszcie przebyty.

O wschodzie słońca mineliśmy śpiące w czystym powietrzu białe domki rybackiego miasteczka Hals. Pogoda była cudowna, niebo jasno błękitne, bez żadnej chmurki. Jacht posuwał się szybko po gładkiej wodzie. Trzeba było jechać bardzo jednak uważnie, gdyż tylko po środku kanał jest dość głęboki; wiechy i tyki oznaczają tę drogę, trzeba więc było ciągle je wypatrywać i liczyć, by się nie pomylić, a zarazem sprawdzać każdą na mapie. Przypominała mi się tu ciągle jazda po naszej Wiśle lub Narwi. Cała zresztą przeprawa przez Limfjord miała raczej charakter wycieczki kajakowej. Podobnie też, jak na rzekach polskich, płynęliśmy w dzień, a na noc stawaliśmy przy brzegach, ale, niestety, nie w niezamieszkałych okolicach, gdyż mogliśmy przybić do brzegu tylko w portach małych miasteczek, odpowiednio głębokich dla naszego prawie dwumetrowego kila.

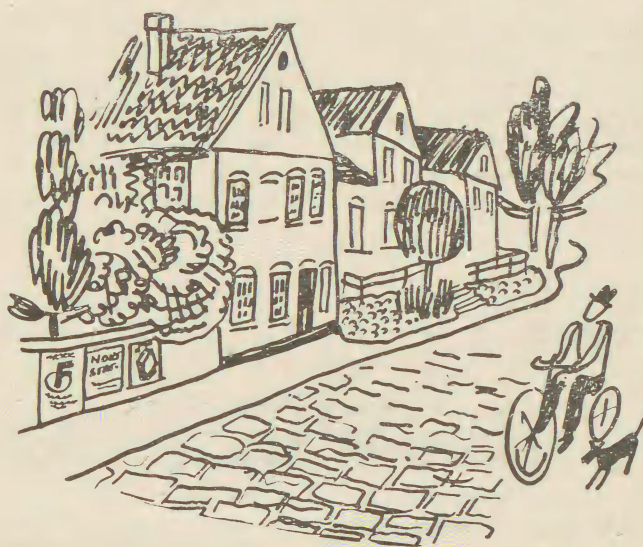
Pierwszego dnia w południe stanęliśmy w Aalborgu, największym mieście nad fjordem. Ponieważ port jachtowy znajdował się po drugiej stronie mostów, które w tym miejscu przecinają drogę, a my, nie mając motoru, nie mogliśmy ich przebyć od razu, wpłynęliśmy do portu handlowego, gdzie na szczęście ruch jest niewielki. Urzędnik portowy, który przyszedł załatwić formalności i przejrzeć nasze papiery, zapytał naiwnie, jakiego to państwa banderę posiadamy. Zdziwiło mnie to wielce, bo wiedziałem, że polskie okręty były już w Aalborgu, gdzie zresztą jest polski konsul honorowy, a ten naszą flagę napewno na święta wywiesza.

Stanęliśmy w bardzo ożywionej części miasta, i tłumy od razu zgromadziły się koło jachtu: oparci o swe rowery, Duńczycy przyglądali mu się godzinami, w skupieniu i prawie bez słowa. Przybyło też od razu kilku Polaków, zamieszkałych stale w mieście. Ujrawszy biało-czerwoną z Orłem Białym banderę, szybko przybiegli, by nas powitać, a zwłaszcza, by pogadać po polsku. Byli to robotnicy, starsi już ludzie, którzy dawno z Polski wyemigrowali, z Dunkami się poženili i mają dzieci po polsku wcale już nie mówiące.

Aalborg jest miastem przemysłowym (około 16.000 mieszkańców), bardzo ożywionem i pięknie się rozwijającym.

W przeciwieństwie do nowych dzielnic, w centrum miasta widzi się wąskie i kręte uliczki, a przy nich charakterystyczne domki z pruskiego muru, że zaś wszystkie domki w Danji są malowane, więc i te stosują się do ogólnej reguły: jedne mają mur żółty, a belki czarne, w innych czerwone skrzyżowania belek odcinają się na kremowym lub różowym tle; widziałem nawet zielone belki na szarej lub zielonkawej całości. Okienne są zawsze dostosowane do barwy całości budynku.

Nie to wszakże stanowi sławę Aalborga i powód dumy jego mieszkańców. Sławny jest ze swoich dwóch mostów, które łączą całą odciecią na północ część Danji z właściwym kontynentem. Obydwa są odmykane, by okręty mogły swobodnie przepływać. Żelaznego mostu kolejowego część środkowa kręci się na swej osi, pozostawiając po obu stronach słupa szerokie przejścia, kamienny zaś most nowy, służący do ruchu kołowe-



Charakterystyczne domki campingowe

go i pieszego, przecięty jest w połowie środkowego przęsła, a obie połowy podnoszą się do góry. Mosty te żywo przypominały nam Warszawę, ciągle też mieliśmy wrażenie, że ten pierwszy, kamienny, to most Poniatowskiego, a tamten dalszy — to Kierbedzia. A że szerokość Limfjordu jest mniej więcej taka sama, jak Wisły pod Warszawą, więc Aalborg i Nørre Sundby, to ostatnie leżące na północnym brzegu, wydawały nam się Warszawą i Pragą. I ciągle miałem wrażenie, że niepotrzebnie mieszkam na jachcie i mógłbym iść do domu wygodnie się przespać. Tymczasem dom był daleko, a tylko latarnie, zawsze i wszędzie takie same, odbijały się w wodzie, która nie była Wisłą.

Nørre Sundby, które przed chwilą wymieniłem, różni się mocno w swym charakterze od Aalborga. Mieszkają tu mianowicie ludzie zamożniejsi, mnóstwo więc tam małych domków w ogrodach.

Nazajutrz ruszyliśmy dalej. Mały holownik prowadził nasz jacht, gdyż mostów nie było moż-

na przepłynąć pod żaglem. Na widok umówionego znaku, bandery duńskiej, niedociągniętej do salingu naszego grofmasztu, wielkie części jechdni pierwszego mostu uniosły się w górę, a potem dwa przeszła „mostu Kierbedzia“ okręciły się dokoła swej osi, prędko je też minęliśmy. Holownik zostawił nas w porcie jachtowym, z którego już sami mieliśmy ruszyć dalej. Zatrzymaliśmy się tam dłużej, niż początkowo zamierzaliśmy, gdyż wiele czasu zajęło nam oglądanie stojących tam jachtów. Albowiem port jachtowy w Aalborgu jest prawie tak wielki, jak w Kopenhadze, i prawie równie dobrze urządzony.

Przed południem ruszyliśmy w dalszą drogę. Cały dzień przy pięknej pogodzie i dobrym wietrze wypatrywaliśmy znów tyki oraz wiechy, oznaczające drogę, w dalszym ciągu mijaliśmy kręcące się wiatraki, pasące się na łąkach krowy i bielejące wśród drzew domki. A o zachodzie słońca, gdy wszystko w przyrodzie się ucisza, gdy niebo ciemne robi się u góry, a białe na widnokręgu, na którym za chwilę ma się ukazać różowy pasek zachodu, i tylko drobne stada kaczek, jak u nas na Biebrzy, przelatują po niebie, — na ostatnie podmuchach wiatru weszliśmy do małego portu w miasteczku Logstør. Woda była gładka, jak lustro, a tak było cicho, że słyszeć było szmer dzio-

bu, prującego powoli przezroczystą gładzinę. Usłudźni Duńczycy wskazali nam z brzegu najodpowiedniejsze do cumowania miejsce, wstydziło się też może, iż nie mają osobnego portu jachtowego, ale w tak małym miasteczku, to i na duńskie stosunki byłaby przesadą.

Rzeczywiście całe miasteczko, to kilka ulic z domkami, kościół, szkoła, kilka sklepów, z wielkimi naturalnie witrynami, jak w wielkim mieście, oraz hotel z restauracją na wyniosłości za miastem, którą doskonale z jachtu naszego było widać. Musiała się tam tego dnia odbywać jakaś zabawa, bo przystrojono ją zielenią i chorągiewkami, a gdy się ściemniło, biło z jej okien jasne światło. I choć wielką miałem ochotę pójść tam, nie mogłem, na mnie bowiem wypadła tego dnia kolej gotowania na jachcie i zmywania statków po kolacji. Jak smutny kuchcik, wpatrywałem się w dalekie jasne szyby, a podczas gdy szorowałem na piasku garnki, dochodziły mnie chwilami słabe odgłosy tanecznej muzyki.

Ruszyliśmy w dalszą podróż o świcie, ciesząc się z pięknej jazdy w przepyszną pogodę. Nie mogliśmy się spodziewać, że tego samego dnia wieczorem spotka nas straszna przygoda, o kilka mil zaledwie od wylotu Limfjordu do morza Północnego.

A. ZORICZ

16)

POWIEŚĆ LEKKOMYŚLNA

Michiejew znowu wyraził żal, że wprowadził zamęt. Cała ta scena była dla niego bardzo przykra, lecz daremnie próbował przejść do swego pokoju. Ziablikow zastępował mu drogę, i usta nie zamykały mu się ani na chwilę. Opowiadał, że od tysiąc dziewięćset piętego roku jest sympatykiem rewolucji, że woli sam nie dojeść i nie do spać, ale wszystkim, co posiada, podzieli się z bliźnim. Niby od niechcenia wspominał o intrygach, które knują przeciwko jego rodzinie niektórym z lokatorów. Mówił niezupełnie wyraźnie i Michiejew nie zrozumiał, o co chodzi. Nudziło go to i, chcąc zmienić rozmowę, zwrócił się do Serafiimy:

— A pani porządnie się opaliła!

— Opaliła się? Tak, tak, opaliła się! — Ziablikow znowu zaczął uwijać się po pokoju. — Pan nie lubi tego? — Idź, umyj szyję, — szepnął ze złością do córki. — Przyznaję się, że i ja nie jestem wielkim zwolennikiem słońca. Co w tem ładnego? Człowiek wygląda, jakby go natarli kalafonją. Ale to z niej niedługo zejdzie!

— Ależ przeciwnie, ja bardzo lubię opalone ciało!

Ziablikow znowu zmieszał się, zaczął mrugać oczyma i, uśmiechając się głupkowato, odrazu zmienił front:

— Najzupełniej się z panem zgadzam! Cóż to jest białe ciało? Jakiś mdły, nieokreślony kolor... Ja i żona zawsze się opalamy! To nawet dzie-

Michiejew spojrzał na niego z pogardą. Podniósł walizkę i paczki i stanowczym krokiem skierował się ku drzwiom.

— Przepraszam, ale czas na mnie. Zdaje się, że mamy na górze solarium. Pójdę, wezmę kąpiel słoneczną.

— Nie przeszkadzamy! — Ziablikow złożył przytem głęboki ukłon.

Zaraz po wyjściu Michiejewa kazał Głaszy pobiec na górę i zabrać stamtąd samowary i piecyk.

Ziablikowa cicho westchnęła.

— I trzeba to się było przeprowadzać? Lepiej zostalibyśmy w starym mieszkaniu! Ani jednego partyjnika, i prosiaka było gdzie trzymać! A tutaj? Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie cielę!

— Licho go przyniosło, tego amatora kąpiel słonecznych! — ponuro odrzekł Ziablikow.

Michiejew po wejściu do swego pokoju chciał otworzyć walizę, gdy zapukano do drzwi, i na progu stanął Wieszka.

— Jako delegat komsomolców, zamieszkujących dom trustu... — zaczął urzędowym tonem, podkreślając opadające rude kosmyki, — nagle zatrzymał się, uśmiechnął i zawołał uradowany:

— Sierjoża!

— Wieszka!

Rzucili się sobie w objęcia.

— Skąd się wziąłeś tutaj? — zapytał Wieszka. — Przecież ostatnio pracowałeś na Kubaniu?

— Przeniesiono mnie.

— A Hala? Została tam?

Michiejew spuścił oczy, zmieszany.

— Nie... Też jest w Moskwie. Ale... widzisz... rozeszliśmy się... Poszło o sprawy zasadnicze...

— O zasadnicze? To gorzej, — rzekł Wieszka poważnie.

— Tak. Sprawa królików. Wiesz, że oboje pracowaliśmy nad propagowaniem hodowli królików. I otóż ja uważałem, że korzystniej jest hodować króliki ogoniaste, a ona, — że „bez ogonów“. Ja swoje, ona swoje. Od słowa do słowa — pokłóciliśmy się.

— Upiory przeszłości, — odpowiedział Wieszka.

— Chyba sam rozumiesz, że przy tak różnych poglądach na sprawy ekonomiczne pożycie małżeńskie stało się niemożliwe. No, a co słyszeć u ciebie? Jak się ma Wiera?

— Wiera? — Wieszka znowu zaczął energicznie podkręcać opadające na czoło włosy i, zamiast odpowiedzi, zapytał nagle:

— A jakim sposobem dostałeś się do naszego domu?

— Komitet rejonowy przydzielił mi tu pokój. Co za wspaniały dom! Jakaście się tutaj urządzili?

— Jaknajgorzej.

Opowiedział przyjacielowi o wszystkich kłopotach i utrapieniach, związanych z sąsiedowaniem z rodziną Ziablikowych. Teraz dopiero Michiejew zrozumiał pobudki niezwyklej uprzejmości i uczynności małżonków.

— Bądź spokojny! Damy sobie z nimi radę! — pocieszył Wieszkę — i spostrzegłszy w jego rękach jakiś dziwny przedmiot, okręcony sznurem elektrycznym, zapytał:

— Wciąż budujesz modele? Co to jest? Wagi z dźwignią?

— Nie. To jest przenośny pokojowy dźwig z motorem. Chcesz, na przykład, wbić w ścianę gwóźdź albo hak, albo poprawić przewody elektryczne, — musisz postawić krzesło, na krześle — stół kuchenny, na tem — wiadro i jeszcze ze trzy tomy grubych książek...

— A potem, kiedy to wszystko runie, rozbijesz sobie nos, — dokończył Michiejew.

— Naturalnie. A tak, rozumiesz, bierzesz deskę, naciskasz dźwignię i jedziesz sobie w górę choćby na trzy metry!

— Nieźle!

Podczas tej rozmowy Michiejew przebrał się w kostjum gimnastyczny.

— Sąsiedzi nie pozwolą, — uprzedził go Wieszka, — mają córkę panienkę.

— Nic nie szkodzi. Na wszelki wypadek wezmę z sobą ręcznik i nakryję się. Chyba moralność panienki nie będzie tem obrażona.

Poszli do okrągłej sali. Ziablikow, ujrawszy zastępcę prezesa trustu w kostjumie gimnastycznym, w pierwszej chwili speszył się, lecz natychmiast, opanowawszy się, zaczął mówić z służalczym uśmiechem:

— Pan na słoneczko? Na łono natury, że się tak wyrażę? He-he-he! Korzysta pan z dnia odpoczynku? Ja i żona też, — każdą wolną chwilę w dzień i w nocy spędzamy na słońcu! A jutro już

do pracy! Już pan objął nowe stanowisko. Sam wpisałem pana onegdaj na nową listę trustu...

— Jakiego trustu? — zdziwił się Michiejew.

— Już pracujemy w jednej instytucji! He-he-he!

— Nie wiedziałem, że i pan pracuje w komitecie rejonowym?

— W jakim komitecie?

Na twarzy Ziablikowa odmalował się niepokój. Palce zaczęły szybko biegać.

— Ja pracuję w komitecie rejonowym, w sekcji komsomolskiej.

— Przepraszam! Michiejew? S. I.?

— Tak. S. I.

— W komitecie rejonowym?

— Tak.

— A w gazetach pisali...

— A tak! Już mi kilka osób mówiło. To samo imię i nazwisko.

Twarz Ziablikowa w mgnieniu oka zmieniła wyraz.

— Dlaczego pan odrazu nie powiedział tego? — krzyknął, tłumiąc wściekłość. — Oszukuje pan porządných ludzi!

— Ja? — Michiejew szeroko otworzył oczy. — Alboż ja cokolwiek o tem mówiłem?

— Trzeba było posłać do gazet zaprzeczenie! — krzyknęła Ziablikowa. — Albo zmienić nazwisko! Samozwaniec! Gryszka Otrepjew! Oddać zaraz łóżko!

Na jej policzki i czoło wystąpiły czerwone plamy. Górna warga z wąsikami podniosła się do góry. Wojowniczym ruchem poprawiła broszę na piersiach.

— Ależ bardzo proszę! Wcale mi niepotrzebne. Nawet nie chciałem go przyjąć. — Michiejew też zaczął tracić cierpliwość.

— Głazka! Biegnij zaraz i przynieś zpowrotem łóżko! Taki będzie się wylegiwał na sprężynach, a nasze biedne dziecko tymczasem odgniało sobie ciało! Brutal! Egoista!

— I za wodę proszę zapłacić! — dorzucił Ziablikow. — Będzie mnie tu objadał!

Na krzyk wbiegła Tania. Ujrawszy Michiejewa, klasnęła z radości w dłonie i serdecznie go uściskała.

— Ależ to jedna banda! — zawołał Ziablikow, obrzucając ich nienawistnym wzrokiem. — To prowokacja!

W tej chwili wszedł do sali Fiedosiejew, obwieszony klatkami. Rozejrzał się po pokoju, szukając widocznie odpowiedniego miejsca dla swoich ulubieńców.

Ziablikow stał blady. Zrozumiał, jak się wygłupił, i nie mógł sobie tego darować. Pienił się ze złości i szukał, na kogoby ją wylać. Rzucił się na staruszkę.

— Precz! — krzyknął. — W tej chwili wynosić się, bo i tym też nasypię pieprzu do klatek!

Staruszek zaczerwienił się z oburzenia. Oczy zapłonęły gniewem.

— Więc to pan... to ty?! — ryknął i, postawiwszy klatki na podłodze, schwycił leżącą na oknie maglownicę. — Ach, ty...

Ziablikow jednym skokiem znalazł się przy żonie, która zasłoniła go swym masywnym ciałem.

— Uderz! — zawołał, wysuwając nos z za jej potężnych pleców. — Spróbuj tylko! Na katorgę pójdziesz!

Ziablikowa czuła, że grunt usuwa się jej spod nóg. Nadrabiając miną, zaczęła znowu wydawać rozkazy.

— Głazka! Zamknąć okna! Gdzie jest bielizna? Zanieś piecyk zpowrotem na taras!

EDWARD ESTAUNIE

członek Akademii Francuskiej

Hałas wzrastał się. Żorż, Wiera i inżynier wybiegli ze swych pokojów.

(d. c. n.)

(Przekład H. Winawerowej).

16)

GŁOS Z ZA ŚWIATA

— Ach, cóż za uprzejmość!...

— Patrzyłem na ciebie przy stole... Zawsze nieco zbyt poważna, ale zajmująca, nieprawdaż?... Młodość szuka młodości. Dalej moje dziecko... Kawa jest gorąca... tak jak trzeba...

Młoda dziewczyna już odeszła, zwracając się w stronę ojca i Renego z inną filiżanką.

— Właśnie tak, jak trzeba... — pomrukiwał znowu ksiądz, nie ośmielając się jednak spotkać ze wzrokiem pani Traversot.

To właśnie naprowadziło na rzeczywisty temat.

— Dlaczego, skoro jest tak bogaty, jak ksiądz utrzymuje, chcą go ożenić za wszelką cenę.

— Nie za wszelką cenę — zaprzeczył ksiądz Valfour między dwoma łykami kawy.

Z chwilą, gdy pani Traversot z własnego popędu zaczęła mówić, ksiądz nabrał otuchy.

— Anetka będzie miała bardzo mało.

— Ma nazwisko, ród i pozycję...

— Czyż to są rzeczy, których brak temu młodzieńcowi?

— Nie, naturalnie.

— A więc nie rozumiem.

— Ja to pani wytłumaczę.

Bezwiednie przyciszyli głosy. Coraz bardziej mogli wierzyć w Notre Dame.

— A przytem skoro ksiądz pragnie małżeństwa swego brata, jest to dowód troskliwości bardzo rzadki i wzruszający w tych czasach. Co do mnie... uwielbiam go... Proszę sobie wyobrazić apostoła... apostoła, starającego się, aby wszystkie dusze, jak jego, zachowały czystość dziewczę. Stąd jego niepokój o brata. Obawia się niebezpieczeństw na przyszłość, w czem podług mnie przesadza.

— Chce ksiądz powiedzieć, że ten młodzieniec... — przerwała pani Traversot.

— Nie — zaprzeczył ksiądz. — O ile go znam jest zupełnie... doskonały. Co się tyczy rodziny — bardzo dobra... Ze środowiska przemysłowców, oczywiście... ale bardzo szlachetnego szczerpu. Papiernicy, jak i fabrykanci wyrobów szklanych, zostają z czasem gentelmenami:

— Tak mówią — westchnęła pani Traversot niepewnie. — Czy ksiądz wie przynajmniej jaki tytuł przysługuje de La Gilardierom?

Ksiądz Valfour nie odpowiedział.

— Lubię mieć dokładne wiadomości — mówiła dalej pani Traversot po chwili milczenia.

— Oh! — westchnął ksiądz Valfour — pozwólmy zatem działać Opatrzności!

Zadowolony był, że mógł spuścić się na Boga, zwłaszcza od chwili, gdy mimo swych obaw pani Traversot przestała pytać o szczegóły.

— Niech pani lepiej spojrzy, czy to nie Ona zaczyna już działać?

Nie poruszając się z miejsca, wskazał oczyma na odbite w lustrze dwa obrazy: Anetki i Renego.

Podczas gdy w kącie przy kominku w wielkim salonie zamieniano te ważne słowa — oni tam o wiele mniej mądrze, ale również o wiele więcej decydująco rozpoczęli akcję.

Nieoczekiwane sam na sam. Tymczasem nagle pan Traversot z powodu jakiejś miniatURY rozpoczął długą tyradę o poszukiwaniach poczynionych w celu utożsamienia osób. Gdyby nie znaleziono jakiego nadzwyczajnego dokumentu, nigdy by zapewne do tego nie doszło. Co się zaś tyczy tego dokumentu...

Zatrzymał się:

— Nie zawadzi zobaczyć go i jeśli bym śmiał...

— Ależ, proszę bardzo, — odpowiedział René.

Anetka, która podawała właśnie likiery, zaprotestowała, ale pan Traversot, skoczył jak szalony, po wyszukanie drogocennego papieru.

— Za trzy minuty... będę zpowrotem...

Tak prawie twarzą w twarz Anetka i René stali zakłopotani okazją, której wcale nie szukali; nie wiedząc co zrobić, uśmiechali się głupio, wskutek czego ich myśli nie mogły się wypowiedzieć za pomocą ust. Spoglądali też na siebie. Abyśmy się mogli sobie dobrze przypatrzeć, nie powinien nas rozdzielać ani stół, ani świadkowie.

— Ojciec pani musi być bardzo przywiązany do pamiątek rodzinnych — wyrzekł wreszcie René po dłuższym szukaniu jakiegoś oklepanego frazesu, co mogło chwilowo pokryć jego niepokój i zażenowanie nagle odczute.

— Ojciec mój żyje przeszłością — rzekła również niepewnie, — na szczęście mama zajmuje się teraźniejszością.

— Ma się rozumieć, przy pani pomocy.

— Och, jestem tylko młodą dziewczyną, a młode dziewczęta nie robią nigdy wielkich rzeczy.

Podniosła oczy i zaczęła przyglądać się Renému. Czy Kopciuszek, odkrywszy swego Zaczarowanego Księcia, od razu zrozumiał, że stanie się jego niewolnicą, czy też uczuła tylko wielkie zaniepokojenie. On znów ze swej strony dziwił się, że nie mógł nic mówić; tak niedawno, gdy ją ujrzał zdaleka, wydała mu się, jak wszystkie inne. Z bliska odnalazł w jej twarzy nieznane rysy, powagę, która go zobowiązała; on, zwykle tak śmiały, uciekał się do pewnej grzeczności.

Nastąpiła krótka chwila zakłopotania, w czasie której doznał rozkoszy nie do opisania. Do-

świadczał szczęścia obecnego; nie podejrzewał, jak stanie mu się droga.

I René przemówił.

— Musi pani bardzo kochać ten dom?

— Zawsze tu przebywałam.

— Jednak pewnego dnia trzeba go będzie porzucić...

— Jestto rzecz, o której, przyznam się, nigdy nie myślałam. Czuję, że mogę być wszędzie szczęśliwa, byle tylko tam było moje szczęście.

Potem, wznosząc ramiona, po krótkim namyśle dodała:

— To, co mówię, wydaje się głupstwem, jak gdyby odpowiadało czemuś.

— Nie — odparł René — rozumiem to doskonale, i nie umiałbym sam lepiej tego wypowiedzieć.

Zarówno dusze ich, jak i słowa zamieniane, były jakby we mgłę spowite. Już nie pragnęli rychłego powrotu pana Traversot.

— Ojciec pani nie wraca — obłudnie powiedział René.

— Często ma dużo kłopotu, zanim coś znajdzie w swych papierach.

— Musi być do pani bardzo przywiązany. Jakżeż mu pani będzie brakować, gdy pani pójdzie za męża!

— ...O ile wyjdę zamaż...

— Czemuż by nie?

— Małżeństwo jest rzeczą przerażającą. Zapytuje się, jak można się na to zdecydować.

— Wielu zapewnia, że bardzo łatwo.

Anetka uśmiechnęła się znowu.

— Przechwalają się, ja im nie wierzę.

— Wystarczy kochać.

— Tak mówią, ale po czem poznać, że się kocha?

— Och, to jeszcze łatwiej...

Tymczasem, zamiast dalej prowadzić rozmowę, René spuścił oczy. Nieznana mu dotąd wstydliwość wstrzymała dalsze słowa. Wahamy się mówić przed zwierciadłem z obawy, by nie przyćmić jego blasku swym oddechem.

— Tak, a poczem to można rozpoznać? — pytała Anetka w zamyśleniu.

Jednocześnie oczy jej zapytywały Reného. Nie było w tem śladu kokieterji, lecz nadzwyczajny wyraz ufności.

— W dniu, w którym się to zdarzy, bez wątpienia, nie zada pani tego pytania — odpowiedział w końcu René.

— A czy to się panu kiedy zdarzyło?

— Nie, zaiste!

I nagle René pojął, że w istocie nigdy mu się to dotychczas nie zdarzyło. Pomyślał: może się mylił. Do tej chwili, gdzież miał się nauczyć miłości, — tej jedynej, o jakiej mogła mówić Anetka — jest to uczucie bardzo czyste, słodkie, jak miód, jak morze, pijaństwo duszy, wobec którego gaśnie każde inne, zespolenie się w jedno, czego czas zniszczyć nie może, gdyż od pierwszej chwili przyrzeka się sobie wieczność?

— Ale skąd pan wie? — pytała Anetka.

— Można sobie wyobrazić...

— Można się omylić.

— Nigdy w tym wypadku... Tylko obawiałbym się tłumaczyć... Ja na przykład...

Nie skończył. Nowa jeszcze rzecz ukazała mu się. O ile na powiedzenie: „Ja na przykład“, można

się było w pewnym wypadku zgodzić i było ono zupełnie naturalne w szczególności w czasie powrotu z dworca pod parasolem z nieznaną, o tyle obecnie brzmiało ono źle. Ale poco tu wywoływać takie wspomnienia, a nadewszystko po co to dzikie pragnienie ożywczego wiatru, który odświeżyłby te zdania i nadałby wszystkim tym myślom dziecięcą niewinność.

— A więc? — pytała Anetka, chcąc dojść do końca.

— A więc! — odpowiedział trochę niepewnie — przypuśćmy, że ja panią kocham...

— Proszę nie żartować.

— Czy pani sądzi, że nie spostrzegłbym tego odrazu? Miałbym niezłomne pragnienie nie opuszczania pani nigdy, stał bym się małym cieniem pani, bezszelstnie towarzyszącym jej wszędzie, tak jak cień słońca... I byłbym smutny, gdyby pani była daleko, szczęśliwy, gdy się ukażesz, zawsze zazdrosny o czas, który mi cię zabiera... Jakież namiętne oczekiwanie, przed każdym spotkaniem. Ileż wzruszeń z chwilą kiedy się zbliżasz! A nadewszystko jak rozpoznać czy świat jest piękny lub brzydki, kiedy stosownie do tego czy jesteś lub ciebie niema, wszystko rozjaśnia się lub pograża w ciemnościach?

— Słucham — zaczęła Anetka w zamyśleniu — i lękam się czy pan mówi prawdę, że nie trzeba zbyt dużo czasu, aby odkryć w sobie tyle pięknych rzeczy.

— Proszę tak nie myśleć, — zawołał gwałtownie René — niekiedy wystarczy jedna sekunda. Przez lata całe zadaje się sobie pytania... i nagle nie trzeba się pytać.

Wpatrywał się w nią. I naprawdę już nie wiedział dobrze czy mówił to ogólnie czy też może burza rozdmuchała się już w jego własnem sercu. Nigdy się niewie dlaczego takie rzeczy przychodzą. Z początku chciał tylko grzecznie zabawić panienkę z prowincji najzupełniej dla niego obojętną: wystarczyło dziesięć minut rozmowy, aby Anetka, dzięki jakiejś cudownej mocy, weszła w jego życie, jakby po długim okresie przyjaźni. Z przed kominka wielkiego salonu nagle dały się słyszeć głosy księdza i pani Traversot:

— Trzecia niedziela wielkiego postu wydaje mi się najodpowiedniejszą...

— Ależ, wielki Boże! nie dano księdzu likieru! To wina Anetki: gdzież ona się podziała?... Anetko!...

— Zdaje mi się, że to panią wzywają, — rzekł René.

Nie odpowiedziała: być może z kolei ona sobie pytała: „Skoro odejdzie, czy chętniej będę o nim myślała, jak o innych?”

René podjął żywo:

— Każda lekcja zasługuje na nagrodę: czyż mogę mieć nadzieję, że w dniu, w którym zjawi się wybrany będę mógł dowiedzieć się czy przypuszczenia moje są prawdziwe?

— Anetko! — wołała znowu pani Traversot — ksiądz Valfour niema likieru!

— Och! — wymówiła młoda dziewczyna pół głosem — myślę, że wszystko, co pan powiedział, jest zupełnie trafne...

Opuściwszy Reného, zaczęła nadszakiwać księdzu.

Pozostawiony sam w małym saloniku, pod pozorem czekania na pana Traversota, który je-

szcze nie wracał, René nie spuszczał oczu z młodej dziewczyny.

— To nic nie szkodzi, — mówił ksiądz Valfour, podczas gdy Anetka nalewała likier — czekanie nie dłużyło mi się w towarzystwie twej przemiłej mamusi... Ach! co za zbytki! prawie pełny kieliszek... Aby wypić za zdrowie pani Traversot i twoje szczęście, nigdy nie będzie za wiele... Ależ tak, za twoje szczęście, czemuż nie? Nie przypuszczajmy, że dobry Bóg czyni jak zły człowiek, o nie! Rzuci ci pewnego dnia pod nogi szczęście, nie należy wątpić.

— Upewniam księdza — odpowiedziała Anetka — nie wątpiłam nigdy: trzeba je tylko umieć rozpoznać, gdy się zjawi.

— Nareszcie! Znalazłem!

Tryumfując wołał pan Traversot, ujmując pod ramię Reného, który się wzdrygnął jak zbudzony ze snu.

Potem nastąpiło coś w rodzaju automatycznego powtórzenia wieczoru. Słowa, rozmieszczenie osób, rodzaj przyjemności nawet mało różniły się od obiadu. Tylko te dwie rozmowy, wyżej przytoczone, jak jakieś obrazy fantastyczne, wznosiły się wgórę wśród mgły. Ukazały się i znikły, zapytywano się siebie czy miały one istotnie miejsce, czy też było to w wieczystej mgłę i czemu wierzyć należy: mgła jest tylko dymem, sami wiedzieli...

O godzinie dziesiątej ksiądz Valfour zaczął się żegnać. Ceremonja pożegnania różniła się nieco od ceremonjału powitania, gdyż państwo Traversot w dowód nadzwyczajnej uprzejmości towarzyszyli swym gościom aż do głównego wyjścia.

Burza ucichła, niebo się wypogodziło, mieli ochotę zatrzymać się na ganku, ale przez grzeczność poszli. Anetka, podając rękę Renému, rzekła:

— Dowidzenia panu...

On odpowiedział:

— Czy pani wie, że „dowidzenia“ znaczy tyle, co „przyjdź tu jeszcze i to niedługo?“

Odrzekła bez zakłopotania:

— Naturalnie, chciałam właśnie to powiedzieć.

W ogólnem zamieszaniu słowa te zginęły, poczem ksiądz Valfour ujął pod rękę Reného.

— Chodźmy, — oznajmił — odprowadzę grzeczne dzieci spać.

Wyglądał na zachwyconego. Pewny, że ma za sobą rodzinę Manchon, nie miał już wątpliwości co do Traversotów. Skoro przekonał się, że rodzice się zgadzają, a resztę zobaczył w lustrze, błogosławił drogi Opatrzności.

Zbyt pochłonięty własnymi wrażeniami, aby zwracać uwagę na towarzysza, — René marzył. Zdawało mu się, że jakiś ostry wiatr od morza przeszedł przez jego duszę i wymiół, jak zwiędłe liście młodzieńcze przygody, rozkosze, które brał za miętność, aż do imion kobiet, jakie ludził się, że kochał. Jakie przyczyny nieznane składały się na to, że Anetka Traversot była tak różna od innych? Nie samo tylko oddalenie od wszystkiego; gdyż do tego stopnia pociągła ona bezwiednie tych, co się do niej zbliżali, że gotowi byli przed nią odkryć swą duszę i wyjawiać myśli...

Nagle ksiądz rzucił wśród nocy:

— A więc?... à propos... co myślisz o Anetce?

René wzdrygnął się, a potem, zadrosny o swe myśli i aby się niczem nie zdradzić, mruknął:

— Mój Boże! cóż mogę powiedzieć? Młoda panienka...

Przypadkowo znalazł odpowiedź na pytanie trudne do rozwiązania. René, który w swoim życiu nie zbliżał się nigdy do młodych dziewcząt, spotkał ją wreszcie. Nie zdawał sobie sprawy, czy ją już kocha; ale czyż byłby szczęśliwszy, wiedząc o tem, i zaliż nie była to chwila, gdy rodzi się ptak niebieski i gdy najlepiej czuć się wzniesionym wśród gwiazd?

IV.

Musimy teraz opuścić tę oazę i powrócić do Paryża, gdzie rozpoczął się dramat. W ciągu mego opowiadania będę krążył pomiędzy Paryżem a Semur, aby powiązać wypadki i tu i tam i nigdzie nie przybyć za późno.

Mówiąc, że dramat rozpoczął się w Paryżu, źle wyraziłem myśl moją. Początek sięga chwili wyjazdu Reného do Semur, ale ten zaczynał się nie był ukrywany przez osoby zainteresowane.

Zewnętrznie, René, w istocie wyjechał, a życie przy ulicy Monsieur normalnym toczyło się biegiem. Żadnej zmiany w zwyczajach, jakoteż i w słowach. Jak dawniej, ksiądz przychodził co wieczór na obiad, Lapirotte posłuszna była rozkazom swej tyranki, pani Manchon wydawała decyzje i rzucała gromy... Prawie jednocześnie jednak oko przezorne odkrywało pewne ruchy źle strzeżone, chwilową postawę, której się już więcej nie zauważało, a wszystkie te drobiazgi, były to zwiastuny zbliżającej się burzy.

Bywały dni, że pani Manchon była bezustannie, do ostatnich granic zniecierpliwiona, bez żadnego widocznego powodu. Wszystko wykonywała z tą samą uwagą, nie skarżyła się przed nikim i czuło się wokoło niej nieustanny zły humor, ustawiczną irytację na życie i na całe otoczenie.

Podobnie ksiądz był zawsze milczący, jak zwykle. Słowa jego słyshało się rzadko, a zawsze wypowiedziane z tajoną niechęcią. Niekiedy można go było widzieć z miną pytającą, jakby oczekiwał jakichś ważnych nowości, które nie nadeszły.

Przeciwnie — Lapirotte: nigdy dotąd nie okazywała bardziej pogodnej rezygnacji.

Poświęćmy jej chwilę uwagi. Naszkicowałem jej postać taką, jaką mi się wówczas ukazała. Później widywałem ją dość często, gdyż czy to przypadkiem, czy też przez jakąś kalkulację, prawie nigdy nie można było widzieć pani Manchon inaczej, jak z nią lub przez jej pośrednictwo. Otóż, w każdym wypadku, pierwsze moje wrażenia podlegały zmianie. Poprzednio uważałem ją za głupią; musiałem zmienić zdanie i przekonałem się, że jest niezwykle inteligentna; poprzednio miałem ją za bierną: teraz przeczuwałem w niej piekielne otchłanie, przed którymi można było zadrzeć. Ciekawa tak, że od wejścia jej w tę rodzinę — widziała wszystko i wszystko pamiętała i rozumiała. Bez wątpienia zatem, ona to pierwsza była źródłem wszystkiego, co się stało, kierowana jakimś głębokim powodem.

(d. c. n.)

(Przeł. autoryz. Zofji Dygasińskiej-Wolertowej)